

Opowieść o orgazmie

oto głoszę namiętność i mądrość

ciasno w pasie zrosnięte

jak centaur

(Zuzanna Ginczanka, "O centaurach", 1936)

Kobiety obdarzone są niezawodnym instynktem,

dzięki któremu natychmiast wiedzą,

kiedy dany mężczyzna traci dla nich głowę...

(Carlos Ruiz Zafón, "Cień wiatru", Daniel Sempere, narrator, 2001)

"Przed nami chyba wciąż długa droga w poszukiwaniu indywidualnego języka opowieści o orgazmie", podsumowuje na stronie xięgarnia.pl Robert Pruszczyński recenzję książki Roberta Muchembleda "Orgazm i Zachód. Historia rozkoszy". Gdyby nie to zdanie, nie zabrałabym się za ten temat, bo na temat seksualności już tyle napisano, że zdałoby mi się dolewaniem szklanki wody do Wisły. Ale że "indywidualny język opowieści o orgazmie" to prawdziwy *challenge* dla takiego wędrowca jak ja, więc już zarzucam tobolek i ruszam w drogę...

Czytelników mojego reportażu z tej szczególnej podróży uprzedzam zawczasu, że droga to kręta, stroma i pełna pułapek, jeśli chodzi o język, bo język w tej dziedzinie jest prymitywny: albo anatomicznie lodowaty, albo wulgarnie wrzący, umiarkowanych temperatur nie ma. Wrażliwych na zimno-gorące kąpiele nie zachęcam, żeby mnie nie hamowali. Poza tym siłą faktu w trakcie wędrówki nasza znajomość będzie się zacieśniać, zatem jak ktoś nie lubi takich bliskości, niech z góry zrezygnuje, będę wdzięczna.

Zastrzegam się, żeby mi nie było zbędnych reklamacji! I tak nie będzie łatwo! Poza tym wykatapultowana przez koronawirusa daleko od domu z podręcznym bagażem, nie posiadam przy sobie żadnej z książek na temat z domowej biblioteki, będę więc pisać z głowy, czyli z pamięci, a ta, jak wiadomo, potrafi sprowadzać na manowce i ogólnie płatać różne figle. Wybaczcie tedy i komu w drogę, temu czas!

"Orgazm", to słowo, którego za moich młodych lat w towarzystwie się nie używało. Było intymne, jak intymne jest samo przeżycie. I nie ma się co dziwić, jeśli zważyć, że moje wchodzenie w dorosłe życie to lata 70. XX wieku, a jeszcze na początku tego wieku na nogi od fortepaniu nie mówiono "nogi", bo słowo "noga" było nieprzyzwoite.

Zakłamywanie tematu miało się dobrze, co nie znaczy, że go nie było, w roku 1900 ludzi było 1 miliard 650 milionów, do połowy XX wieku liczba się podwoiła, skądś się te nowe pokolenia wzięły.

Był więc seks, a jeśli był seks, były orgazmy. Przynajmniej jeśli chodzi o stronę zapładniającą, bo z tą zapładnianą różnie bywało, a i do dziś różnie bywa. Zresztą wytrysk też niekoniecznie musi się zbiec z doznaniem orgazmu. Ale o tym wszystkim, co już i tak wiadomo, nie będę pisać, bo i po co? Dla mnie ważne jest skonstatowanie, że kobieta nie musi mieć orgazmu, żeby jej było przyjemnie (i odwrotnie, mimo doznania orgazmu może jej być nieprzyjemnie). Umówmy się w tym momencie, że jeżeli mówię "kobieta", to mam na myśli "ja-kobieta", bo badań żadnych na ten temat nie robiłam, co najwyżej zapoznałam się z badaniami innych, ale badania takie, a zwłaszcza ich interpretacje, lubią się szybko przedawnić. Przecież jeszcze zajmujący się - jako jeden z pierwszych naukowców - badaniem orgazmu Freud niejedno nadinterpretował, niejedno przegapił.

W ogóle za czasów Freuda kobiety dzieliły się na "przyzwoite" i "nieprzyzwoite". Nie wiem, do jakiego stopnia Freud zajmował się życiem seksualnym kobiet "przyzwoitych", jako że te z założenia przyjemności z seksu nie miały, a w każdym razie nie miały mieć. Nadużyć zaś w badaniu kobiet "nieprzyzwoitych" u zarania unaukowiania seksualności było tyle, że raczej należałoby przebadać historię nadużyć w ramach tych badań, niż historię przyjemności z seksu jako takiego. "Historia hysterii" to trwająca wieki historia ciemna i ponura, nie będziemy więc zahaczać o tę jaskinię.

Dość na tym, że lekarze usiłowali leczyć "histeryczki" (czyli różne nieszczęsne kobiety, które wpadły w ich ręce) stymulowaniem doprowadzającym do tzw. paroksyzmów czyli naszych orgazmów i z zaciekawiem - zapewne - obserwowali rezultaty swoich metod. Ogólnie nieszczęściem się stało, że świat rodzenia się nowoczesnej nauki był światem ściśle męskim, bo niektóre projekcje wtedy ustanowione trzymają się mocno i to mimo tego, że w końcu i kobiety zaczęły same siebie badać i dołączać swoje naukowe rozeznania do ogólnej puli wiedzy na temat.

Tyle drogą zagajenia, bo nie trzeba wszystkiego wyprowadzać od prarodziców, żeby dojść do naszych ze wszech miar orgiastycznych czasów praprawników mających wszelki dostęp do pornografii w internecie. Hedonizm ery konsumenckiej ustąpił heroizmowi ery niedostatku. Dziś słyszy się, że jednym z niewątpliwych beneficjentów w czasach pandemii spowodowanej koronawirusem jest przemysł erotyczny pożeniony z technologią elektroniczną. Istna Niagara złota.

Stare feministki lat 80. z wrzaskliwą Alice Schwarzer na czele (w obszarze niemieckojęzycznym) ze słynnym hasłem porNO ustąpiły, bo musiały, młodym feministkom mówiącym na równi z mężczyznami porn jest OK. Taką mamy kulturę seksu i nie ma się co zarzekać. Na uniwersytecie w Paderborn 33-letnia naukowczyni - po niemiecku to jednak lepiej brzmi, "Wissenschaftlerin", bo ta forma gramatyczna akurat w niemieckim jest bardziej sprzyjająca formom żeńskim, sztandarowy przykład: "Kanzler" / "Kanzlerin" po polsku "kanclerz" i "?" - otóż ta młoda niemiecka uczona, Madita Oeming, w ramach studiów kulturoznawczych zajmuje się badaniami nad pornografią jako zjawiskiem kulturowym, temat pracy, nad którą właśnie siedzi, to "uzależnienie od pornografii jako spanikowane morale w Stanach Zjednoczonych ery cyfrowej".

Nie mówię, że to źle, mówię, że to dobrze, że kobiety zajęły się (wreszcie) zagadnieniem, w którym biorą cały czas udział czynny, czas więc na dopracowanie teorii od strony kobiet. W teorii bowiem widzę jeszcze dużo do

zrobienia. Weźmy taki wywiad w aktualnym wydaniu postępowej szwajcarskiej "WOZ" (coś jak "Tygodniówka") z berlińską artystką porno o artystycznym pseudonimie Salomé Balthus. Tytuł wywiadu "Dlaczego kobiety rzadziej kupują seks?". Odpowiedź brzmi: *"Bo wydaje się, że dla kobiet często jest też ważne czuć się wybranymi i pożądanymi, a płacąc nie wiedzą, czy ten (ta) chce ich czy ich pieniędzy"*. I choć tu leży pies pogrzebany, Mlle Salomé mówi to z wahaniem niejako się dziwiąc.

A ja się dziwię, że się dziwi. Bo taki płatny kochanek ma niejako korzyść podwójną, odświeżenie nasienia i kasę, a kobieta-klientka rozminiecie się z zaspokojeniem (mimo - zapewne - orgazmu/ów) minus wydatek. Tu bowiem jak się zaczęły nieporozumienia z przełomu XIX i XX wieku, tak się spiętrzyły wraz z nastaniem ery konsumenckiej i utowarnienia wszystkiego. Jak już naukowo ustalono, że kobieta też ma zdolność przeżywania orgazmu, a zaraz potem przyszła kultura obrazkowa, fotografia i film, to się okazało, że kobieta *ma obowiązek* mieć orgazm, żeby mężczyzna czuł się w swojej ambicji zaspokojenia kobiety spełniony i żeby to było widoczne.

No i zaczęło się! Nie wystarczyło zwykłe małżeńskie ruchanko pod mieszczańską pierzyną, gdzie mąż się spuszczał, a żona miała z tego przyjemność lub nie, ale dzieci się tak czy tak rodziły, teraz trzeba było się nauczyć okazywać, jaką to przyjemność on jej sprawia, żeby jemu było jeszcze przyjemniej, że taki z niego samiec nad samce (ach to "Imponiergehabe", "bębnienie w klatę")! Jak przejrzeć z kolei historię "kobiecego orgazmu" (i jego okazywania) to też trochę się straszno, trochę śmieszko robi. Kobiety to zaiste niezłe artystki! Nie znaczy to, że każda udaje, ale znaczy, że pamięta o tym, żeby odegrać zachwyty tym faktem, że mu się udało.

A tak naprawdę kobieta wcale nie musi mieć orgazmu, żeby jej było przyjemnie, jak już napisałam! Może, ale nie musi. A w naszym świecie tak się porobiło, że choćby nie mogła, to i tak musi. I to jest znowu na głowie postawione, jak wiele spraw, które ustanowili w swojej ignorancji i arogancji mężczyźni (w innej dziedzinie najlepszym przykładem jest postawiona na czubku piramida finansowa, która się właśnie na naszych oczach wali, bo to wbrew prawu grawitacji). Kobieta nie musi mieć orgazmu, to mężczyzna musi nasienie apdejtować, kobieta nie musi. Kobieta powinna czuć się pożądana i dzięki temu być cały czas gotowa - naoliwiona - bo na sucho, to żadna przyjemność dla nikogo, a w grę wstępną można się bawić, albo nie, różnie to bywa, a już na pewno różnie bywało od czasów jaskiniowców licząc, nie każdemu starczało cierpliwości na zaloty, jak go przycisnęło.

Innymi (współczesnymi) słowy kobieta jest bardziej analogowa, mężczyzna bardziej cyfrowy. Kobieta może być cały czas z lekka podniecona, mężczyzna musi się regenerować. I kobieta lubi być cały czas podniecona, może nie każda, ale ja na pewno. To jakby nieustające doładowanie i "świecenie". I wcale nie musi się "rozładować" (jak u mężczyzny, ze strony mężczyzny to klasyczna projekcja). Kobiece podniecenie jest sprytnie skorelowane z hormonami, o ile nie jest zabite do szczętu zwykłym funkcjonowaniem, czyli uwijaniem się w superskomercjalizowanym świecie, gdzie trzeba coraz szybciej zapieprzać w kieracie, żeby zarabiać i wydawać.

Te feromony powodują polepszenie samopoczucia i na zewnątrz dają efekt "promieniowania", wiadomo, że nawet zapach jest inny, prawie nieuchwytny, a jednak! Jakże istotny! Nos swoje wie, bo jest czulszy od świadomości. Współpracuje z podświadomością. I tu nie ma fałszu. W przemyśle erotycznym wiele można odegrać, ale tego nie! (chyba że pracownica jest nimfomanką, ale to na dłuższą metę nie działa, bo to jak z pracą w barze, barkeeper nie ma prawa być alkoholiczkiem!).

W każdym razie przede wszystkim temu zjawisku fizjologicznemu przypisuję moje w rzeczy samej (do 50./55.) dość niezwykle powodzenie, nie tylko urodzie, bo to za mało, nie tylko inteligencji, bo to może nawet być, hm, za dużo (żartuję, jakby co), ale właśnie naturalnemu seksapilowi i aromatowi nieskażonemu żadnymi innymi zapachami: nie palę, nie piję (jeśli, to mało), nie zażywam żadnych leków (chyba że akurat muszę, zwykle to aspiryna na przeziębienie lub ból głowy). Dlaczego mi się tak udało, nie wiem. To już chyba te trzynaście wrózek powinno się wypowiedzieć.

A skoro miałam wybór, to wybierałam starannie wedle klucza: musi mi się podobać cała sytuacja, aplikant jako taki oraz jego seksapil którego składową jest niewątpliwie jakiś wybitny talent, czy cecha. Choć czasami wystarczyło, żeby był piękny i nie ostatni dureń (tu już znowu żartuję, żeby nie było, że cały czas sama powaga)...

Bywało, że ludzie znający mnie bliżej - albo raczej tak myślący - mylili puszczałstwo z powodzeniem. Ot, zwykła projekcja z perspektywy żaby. Nigdy nie byłam "puszczalska" i wcale nie miałam aż tak dużo partnerów, choć trochę więcej od przeciętnej. Przeciętna to 5, ja to ok. 30. Choćby z tej przyczyny, że nie ma aż tak wielu, którzy akurat znaleźliby się w mojej orbicie i zarazem spełniali moje warunki. Ale wszyscy ci, którzy mi się podobali, podobali mi się autentycznie (z jednym wyjątkiem), ani razu nie spudłowałam (bo wyjątek był jedyny taki, dla którego mogłam zrobić wyjątek). Wszystkich mam we wdzięcznej pamięci, a oni mnie, bo przy mnie też zyskiwali na blasku, co powodowało, że jeszcze zyskiwali na powodzeniu i moje następczynie chętnie ich przejmowały, a ja chętnie przekazywałam (fakt! a nawet dwa... trzy... fakty!).

I nie są to jakieś przechwałki czy coś w tym guście, mam to w nosie, statystyki są jakie są, jak wyglądają teraz, nie wiem, pewnie inaczej, bo wszystko nabrało rozpędu, ale jeśli zważyć, że "wtedy" taki Don Juan DeMarco uszczęśliwił ponad tysiąc kobiet?... Inna sprawa, że od tego zwariował... Jakby jednak nie patrzeć, życie seksualne każdego z nas jest niezmiernie ważne i nad wyraz zróżnicowane i udawanie, że jest inaczej jest zwykłym zakłamywaniem faktów.

Wracając więc do psa: pies leży tu pogrzebany, bo pożądanie męskie i kobiece nie jest symetryczne, jak on tak ona, a komplementarne, on i ona uzupełniają się wzajemnie (do seksualności płynnej dotrę za chwilę). I jak już jesteśmy przy psie. Psia samica, jak wszyscy wiemy, potrafi być wściekła i odpychająca, gdy jej psi amator nie pasuje. Nie potrafi się ani sprzedać - za żadną cenę nie da się jej kupić - nie potrafi się umówić, że wyłącza na chwilę naturalny instynkt selekcyjny psich samców i dopuści do siebie na umowną chwilę psa niechcianego - przekładając to na ludzki świat męskich lekarzy od spraw kobiecych, do dziś nie mogę się nadziwić, że tak jest, że obce kobiety chodzą do obcych mężczyzn, choć oczywiście znam dość dobrze historię medycyny i wiem, jak to się w patriarchalnym świecie nauki potoczyło, kobiety na uniwersytety długo nie miały wstępu.

Ustaliło się więc, że dla wszystkich to jest normalne, że sprawami seksualności zajęli się, jak wszystkim w nauce, mężczyźni, stali się więc też lekarzami od spraw kobiecych. Ale dla mnie to nie jest normalne - choć z drugiej strony korzystam z osiągnięć, bo co mam zrobić, skoro nawet tampon wymyślili mężczyźni? Ale dla mnie wiele normalnych spraw jest nienormalnych i na odwrót. Żyję z tym dość długo, zdążyłam się przyzwycząić. Gdy w roku 1974 przyjechałam do Szwajcarii i szukałam swojej lekarki od moich spraw, w Zurichu było 8 kobiet od

ginekologii i mrowie mężczyzn. Dopiero pod koniec wieku ten trend trochę się odwrócił, lekarek od spraw kobiecych było 60% (jak mi wtedy powiedziano).

W tym sensie jestem "suką". Ale w znaczeniu ludzkim "suka" to "ostra laska". Tymczasem ja ostra nie jestem. I nigdy nie byłam. Mimo pewnych odbiegających od zwyczajowej ortodoksji doświadczeń. Lata 70., jeśli chodzi o seks, to były lata niewinności w następstwie rewolucji seksualnej lat 60. Dla ludzi akurat wchodzących wtedy w dorosłość i to wchodzących już na tyle świadomie, że wiedzieli, co robili, był to czas przed wygnaniem z raju, antykoncepcja już była, AIDS jeszcze nie. Tak w Polsce jak i na Zachodzie.

Nie jestem "ostra" w tym aktualnym znaczeniu, gdy zrobiło się to nawet pewnego rodzaju komplementem: w poszechnej, coraz ostrzejszej konkurencji o partnera wyostrzyły się kryteria, ta najostrzejsza "laska" wygrywa, "jesteś ostra" to jak miejsce na podium. Mnie to nigdy nie interesowało, ani nie interesuje, bo i tak jestem wygrana. Urodziłam się w czepku ze srebrną łyżeczką w ustach i piórem za uchem. Pochyliło się nade mną wszystkie trzynaście wróżek i każda z nich włożyła mi do kołyski co miała do dania najlepszego, także ta trzynasta, "zła" wróżka, mnie hojnie obdarowała, dlatego czasami miewam i dojeblliwe doświadczenia, które zresztą od razu zamieniam na korzyść dla siebie. Po prostu mam szczęście. I nie uważam egoizmu za coś wyłącznie złego.

Mam szczęście, bo w całej palecie możliwości bezmyślnych czy bezcelowych kombinacji jakie daje natura, mnie się dostało szczęście do szczęścia w pakiecie z pociągającą urodą i ostrym umysłem plus kilka innych bonusów w postaci rodziny, Krakowa, zdrowia itd. itp. Dlatego nie zamieniłabym swojego losu na żaden inny los! Jak się tak rozejrzeć, to najwyraźniej należę do tych wyjątkowych wyjątków wśród ludzi, którzy są w pełni zadowoleni ze swojego losu. I mówię to bez żadnej emfazy czy megalomanii. W innych systemach myślowych, dalekowschodnich, nazywa się takich ludzi "stare dusze".

Podchodzę do tego z zachodnim sceptycznym racjonalizmem, ale to naprawdę się zgadza: nie interesują mnie sława, bogactwo, kariera, rywalizacja, hierarchia. Naprawdę mam to głęboko w dupie. Od zawsze i na zawsze. Wszyscy ludzie są dla mnie równi w swoich równoległych światach, cały świat zwierząt i roślin równowarty. Co się dla mnie naprawdę liczy, to nie ciasna moralność, ale otwarta etyka. O tyle otwarta, że do ustalonego już kodeksu etycznego dochodzą nowe punkty i podpunkty. Dlatego wszelkie nadużywanie uważam za nieetyczne. Na przykład seks ze zwierzętami jest wysoce nieetyczny. Za to ludzie powinni być ścigani i karani równie bezwzględnie i dotkliwie, jak za inne ciężkie przestępstwa, morderstwa, okrucieństwa, pedofilię itp. Dark net powinien być rozpirzony na strzępy i starty na proch. Ale nie mam złudzeń, nie będzie.

Co do ludzi nie mam złudzeń ostatecznie odkąd przeczytałam w wieku +/- 17 lat "Medaliony" Nałkowskiej jako kulminację innych lektur o tym, co się działo w świecie przede mną. To wtedy postanowiłam nie mieć dzieci, choć właściwie już wcześniej wiedziałam, że nie dla mnie ścieżka: studia, praca, mąż, dzieci... A już na pewno nie dzieci w świecie, z którym właśnie się - jako młoda dziewczyna - zapoznawałam. To co ludzie robią innym ludziom i zwierzętom, to się - nomen omen - w pale nie mieści.

Dlatego cieszę się na nieistnienie po śmierci. Nie będę już tego wszystkiego wiedzieć. Jak to się ma do tego, że wszyscy ludzie są równi? Tak, że nie ma dla mnie znaczenia pochodzenie, narodowość, kolor skóry, orientacja, bogactwo, bieda itd. itp. Ma dla mnie znaczenie zachowanie. Zwłaszcza wobec słabszych. Jak się dwóch idiotów

naparza, mniej mnie obchodzi, czy się pozabijają.

Ale odbiegłam od seksu lat 70., dekady mojej młodości. To był naprawdę niewinny okres w historii seksualności - oczywiście pomijając fakt, że i wtedy była jej ciemna strona, jednak nie tak przepastna, jak teraz, bo spirala cynicznego komercjalizowania wszystkiego dopiero się rozkręcała. Seks był wtedy po raz pierwszy w historii naprawdę bezpieczny od niechcianych ciąży - o ile ktoś wiedział, jak się zabezpieczać (ja wiedziałam) - więc wreszcie i kobiety mogły sobie pozwolić na swobodę taką, jaką wieki całe mieli mężczyźni, rozporządzania swoją erotyką.

W pewnym sensie ja jako dziewczyna miałam nawet lepiej, bo młodzi mężczyźni jednak czasami zaliczali wpadki i dawali się prowadzić do ołtarzy, nawet jeśli im nie było bardzo po drodze - lub przynajmniej płacić alimenty, przecież nie wszyscy zostawiali dziewczyny z dziećmi - ale ogólnie jednak poligamia męska zawsze dobrze się miała - co najwyżej trochę się dzieci urodziło poza legalnym łóżem (szacuje się, że ok. 1/3 - wielkie rzeczy! wszak wszystkie dzieci są nasze! choćby Leonardo da Vinci!).

A ja byłam dobrze przygotowana! Dużo już wiedziałam, z domu, z książek, filmów, sztuki... czytałam to wszystko, co się ukazało, ukazywało, lub do mnie docierało: przedwojenny Van de Velde, te różne słynne powojenne raporty itd. itp. Ale do dziś nigdy o tym nie słyszałam, ani też nigdzie nie czytałam, żeby się dziewczyna przygotowała do utraty cnoty, jak ja to zrobiłam, ostrożnie i bezboleśnie jednym a w końcu czterema palcami. Nie mówiąc o zapoznaniu się z możliwościami organizmu co do doznawania orgazmu. Wiedziałam, na co się szykuje i to bez uprawiania pettingu (poza upojnymi lekcjami całowania).

No więc seks lat 70. pod hasłem "make love not war" był w gruncie rzeczy "happy", owszem, "eksperymentalny", ale niewinny, beztroski i radosny, i to tak w Polsce, jak na Zachodzie, choć na Zachodzie był jednak o wiele bardziej poddawany obserwacjom i refleksjom - w opracowaniach książkowych, z których wiele wkrótce po tym, jak nauczyłam się na tyle niemieckiego, czytałam. Ta era się zamknęła odkąd ludzie zaczęli chorować na AIDS i błady strach padł na świat, zwłaszcza poli, homo, promisk, art, hippy itd. itp. czyli te swobodniejsze środowiska bardziej zagrożone.

Jednak odkąd komercjalizacja zaczęła zagarniać wszystko, co się dobrze sprzedaje - a seks zawsze się dobrze sprzedawał, długa i bogata jest historia prostytucji (z którą oczywiście się zapoznałam, bo jakże by nie?) - więc skomercjalizowanie seksu w erze technologii elektronicznej przekroczyło wszelkie dotychczasowe granice i wcale nie powiedziało "koniec tego dobrego!", wręcz przeciwnie, nadal się rozkręca (vide choćby świetnie zrobiona seria filmów "Black Mirror", gdzie m.in. jest to poruszane). I jak nas teraz koronawirus nie wybije, ani żadna asteroidea w nas nie pieprznie, nadal będzie jednym z najlepszych interesów świata. Jak żarło, broń, leki, alkohole i narkotyki.

Właśnie, narkotyki! Bo z seksem jako produktem jest jak z narkotykiem, dawka musi się zwiększać, jako że kop się osłabia. Aż to wykończenia organizmu. W przypadku seksu - orgazmami. Seksoholicy stają się wrakami jak alkoholicy, narkomani itp. Ile to już lat temu czytałam (poł. 90.), że w Zurichu wśród seksualnych ofert jest i taka, że Freier zamienia się w pacjenta dentystycznego a seksrobotnica udaje dentystkę i boruje płacącemu za tę przyjemność zęby aż po szczytowanie (jak się na to zapatrują prawdziwi dentyści, nie informowano, może to

borowanie to jednak też takie udawanie? nie wyobrażam sobie, żeby zdrowe zęby rozborowywano?).

Obiecałam, że zajmę się osobno grupą LGBT i zajmę się, tym bardziej, że sama stwierdzałam dość wcześnie i u siebie płynną seksualność, i tak mi zostało, albo powiem inaczej, nikt jej we mnie nie zabił. Po prostu byłam sobie jaka byłam, ogólnie bardziej pociągają/pociągali mnie mężczyźni, ale zawsze też podobały mi się kobiety, w latach 70. aż po seks z kilkoma (zwykle w konstelacji z mężczyzną na trzeciego), później już tylko jako obiekty do adorowania (fotografowania, czasami rysowania). I znowu, pomiędzy kochankami obu jednakich płci musi się wytworzyć napięcie i domyślałam się, że jest inne między mężczyznami, inne między kobietami. Mężczyznom raczej chodzi o ostry seks koniecznie z orgazmem, kobietom niekoniecznie.

Tym sposobem doszliśmy do szczytu ale niezupełnie szczytowania. Tak to wynika z mojego doświadczenia, wiedzy i obserwacji. Jeśli chodzi o mężczyzn, mogę się tylko domyślać, jak to u nich jest. Opisów fizjologicznych jest niemało. Dlaczego zatem mężczyźni mieliby mieć pewność, jak to jest u nas, kobiet? Też jest mnóstwo opisów, ale jakby ciągle jednostronnych. Najwyższy czas, żeby się dowiedzieli, że jest inaczej. Wbijam na ten zdobyty szczyt swoją flagę, widomą oznakę, że też doszłam!